

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

TOMKO PRAWDZIC

Józef Kraszewski

Tomko Prawdzic

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843502

Tomko Prawdzic:

Аннотация

Państwo Prawdziwcowie to stary szlachecki ród, który mieszka na Litwie. W swoim herbie mają lwa, który w swych łapach trzyma prawdę symbolizowaną przez żelazo. Prawdzicowie to ogromny ród, kilkadziesiąt rodzin. Nasi bohaterowie noszą przydomek Łaszców. Seniosem rodu był Bartłomiej, a jego żoną Hanna. Wiedli spokojne dostatnie życie w niewielkiej wiosce. Brakowało im tylko jednego – potomka. Nie raz smucili się z tego powodu i łzę uronili, aż tu po piętnastu latach małżeństwa doczekali się synka – Tomasza. Chłopiec był niezwykle inteligentny i dociekliwy, jego nauką zajęł się najpierw miejscowy ksiądz. Ale pewnego dnia w ich progi zawitał Jakób Dołęga, bakałarz, który został nauczycielem Tomka. Następnie oddano go na nauki do Jezuitów, ale nie poczuł powołania, miał inne plany. Postanowił życie poświęcić na poszukiwanie Prawdy i ruszył w świat.

Содержание

Tomko Prawdzic	5
I	5
II	20
III	30
IV	36
Конец ознакомительного фрагмента.	40

Józef Ignacy Kraszewski

Tomko Prawdzic

Hubin dnia 28. Stycznia 1850 roku.

Do

Walerjana Wróblewskiego

w Zielińcach.

Oto masz znowu kochany Walerjanie książeczkę moją, a co gorzej jak widzisz, przypisaną Tobie. – Żal mi że nic innego w tej chwili niemam co bym ci mógł przesłać, bo Bóg jeden wie jakiego losu i przyjęcia dozna nasz Tomko Prawdzic. Dziewaczna to ramota, kochany Walerjanie, a może i niepotém, ale jak biedne, chore, słabiutkie dziecię, ja ją kocham, i jak przyjacielowi ojciec to dziecię przynoszę. Daj Boże byś sobie moje dla słabej dzieciny uczucie wytłumaczył.

Kochaj mnie i niezapominaj o mnie

Twój

Józef

Tomko Prawdzic

*...Rzekł mu Piłat: Co jest prawda?
S. Jan. Rozdz. XVIII. w. 38.*

*?????????????
Epigraf z niewydanej rozprawy o Filozofji przez X. X.*

I

Żaden wielki człowiek nie urodził się jeszcze bez zwiastujących go świata przepowiedni – jest to rzecz dowiedziona. Celem tych prorocत्व, które się dopiero najjaśniej tłumaczą, gdy ich tłumaczenie na nic się już nikomu nieprzydało, jest zapewne: świat uprzedzić, aby go bohater z nienacka nie zaszedł, i palpitacją serca nie nabawił.

Czytajcie Plutarcha, Korneliusza Neposa, lub zresztą jakiegokolwiek żywoty sławnych ludzi dawnego autoramentu, a przekonacie się, że każdy z nich oznajmił się we śnie, na jawie, jakim symbolicznem marzeniem, lub brzemieniennym w znaczenia wypadkiem. Starożytni, których przywykliśmy szanować, nie puszczili w świat żadnej biografji bez tego nagłówka; my po części ich naśladowując, po części dla tego, że niechcący im jesteśmy podobni jako ludzie, po części dlatego, że choć nie

powinniśmy trochę zawsze wierzyć jeszcze w przeznaczenie; my także utrzymujemy jak oni, że wielkich ludzi kolebka cudami się otacza, i wpatrujemy się w jutrzeńkę, gdy nam oznajmia o mającym wschodzić słońcu.

Nasz także bohater — —

Ale nie powiedzieliśmy jeszcze o tém, że mamy dla was bohatera w kieszeni.

Stójmy więc, a wprzód nim opiszemy jak on się światu zapowiedział; wyłuszczy my *more antiquo* i przez uszanowanie dla samej Logiki, kto on był i z kogo się rodził.

Procedencja bohatera jest rzeczą wielkiej wagi, już dlatego, aby rzeczywistość jego exystencję dowiodła tym, którzy gotowi w nią uwierzyć; już żeby nasza klejnotna szlachta nie krzywiła się sądząc, że ją częstujemy jakimś szerepetką, który wypadł sroce z pod ogona. — Darujcie mi to wyrażenie, nie jest ono nasze i nie pierwszy się raz drukuje, mamy za sobą powagę autora Soplicy, który także nie wypadł sroce z pod ogona.

Zacznijmy więc od procedencji, genealogji i zwykłego wstępu. —

Na pocziwej Litwie, którą powszechnie mają za mniej ucywilizowaną od reszty tego świata, którego była niegdyś częścią, żyła zacna rodzina Prawdziców. Biedna nasza Litwa, że trochę przeciągle wymawia, że często dorzuca *da*, że nie muska czupryny wymyślnie używając zamiast grzebienia pięciu swych palców, a jeździ kałamaszkami, wszyscy ją mają powszechnie za mniej ucywilizowaną. Boże odpuść potwarcom! dla nich

cywilizacja cała w krawieckich nożycach, lancemistrzowskich krygach i wiedeńskich koczach.

Na Litwie tedy żyli państwo Prawdzicowie. Więcie bez pochyby, że to stary ród szlachecki? Wszakże musieliście czytać herbarz przynajmniej Niesieckiego pod pretextem historii a w istocie dla tego, że teraz znowu w modzie herby i herbarze. Więcie więc, że herb Prawdzic (tak nazwany dlatego, że prawdy w podaniach o nim dopytać się trudno) pochodzić ma z Dacji, i że na nim wyobrażony jest Lew. Nie Lew, jaki bywa po prostu w naturze, ale ów konwencjonalny heraldyczny lewek z wywieszonym jęczyzkiem, z zakręconym wytwornie ogonkiem, ufryzowany starannie i umiejący służyć na dwóch łapach jak szpice. Ten Lew, mówi Jezuita Niesiecki, trzyma w łapach **Prawdę**, a ta prawda jest żelazna!

Zakrzyczycie mnie pewnie pytaniem jak wygląda owa prawda? co to jest prawda? Ale stójcie! Ta żelazna Niesieckiego prawda wyglądająca na kształt obwarzanka (kształt symboliczny) jest z rodzaju stołowych prawd, co to je kładną pod butelki i szklanki, aby dobrze wychowani ludzie nie poplamili dobrze wypranego obrusa. Jest to tedy tylko podstawkowa, nędzna, biedna prawda, o którą i pytać nie warto.

Prawdzice zaś wywodzą się od owego Androklesa (zobacz w wypisach na klasę drugą) którego nasz Niesiecki przezwął Androdem, a który w Afryce Lwa uleczył, za co Lew wspaniale mu się odwdzięczając, pocałował go potem w rękę przed prokonsulem i zgromadzonym ludem. Prokonsul zaraz jako człek

domyślny (pisze Okolski, który o tém wie najlepiej, bo mu to krewni bliscy Androklesa rozpowiadali) *stante pede*, nadał nie tylko Lwa na własność Androklesowi, ale mu go za herb przyznaczył mówiąc: Słuchaj chłopcze! Jak herbów zacząną używać, co ja już przeczuwam, twoi potomkowie będą mieli gotowy.

Androkles uklonił się, schował nadanie do pugilaresu i na tém się skończyło.

A że wszystko to **nieprawda**, potomkowie Androklesa, którego na świecie niebyło, zowią się Prawdzicami. Zdaje się logicznie.

Tych Prawdziców nietylko u nas w Polsce, ale po całej Europie pełno było: Meninowie w Etrurji, Hrabiowie de Dinheim nad Renem i t. d. wszystko to Prawdzice, Androklesowicze. Któryś z tych Lwów, ożenił się z dziedziczką (herbowną) czerwonego muru: odtąd mur czerwony zakrywający pół Lwa (dla przyzwoitości) zjawił się na herbie.

Któryś z nadreńskich Dinheimów znowu, ożenił się z córką Jana Prawdy hrabi na Szczawinie i Trąbkach, sędziego ziemskiego Gostyńskiego; a gdy dawano w łapy Dinhejma pannę Prawdziankę, włożono i w łapy herbownego Lwa prawdę, aby jego także czémś zaspokoić. Z tąd konfiguracja herbu, jaką ją dziś szczęście mamy oglądać. Lew tylko jakby nierad z owej niepożywnej żelaznej prawdy, skrzywił się zaraz i dotąd się krzywi.

Prawdzice pisali się z Trąbek, z Łabiczyna, z Golczewa,

ze Szczawina, a tak się z czasem rozmnożyli (*coelo favente*) że z nich wyrosło kilkadziesiąt familji. Nasi Prawdzice mieli przydomek Łaszców, a któż z was znowu niewie, że pierwszy Łaszc za Zygmunta III. podgolił sobie czuprynę?

Był to wypadek na pozór drobny, ale ogromne mający w istocie znaczenie: pierwszy co sobie łeb podgolił, czuł że ta moda odpowiadała potrzebie wieku, że już za Zygmunta III. ledwie trochę czuba różniło nas od mieszkających u Bonifratrów. Wiek Zygmunta III. i symboliczny Łaszc poczynają epokę upadku. Niestety! trwał jeszcze dla podgolonych czupryn mięsopust długo, a prawnukom dopiero zostały – popiół i śladzie.

Stary pan Prawdzic miał imię Bartłomiej; śliczne imię hreczkosieja, imię, z którym złym gospodarzem być nie można, bo ci nieustannie przypomina, że na imieniny pierwsze żytko posiać powinienes.

On był Bartłomiej, ona miała imię Hanna. Jejmość równie dobra szlachcianka rodziła się z Leliwy, a po ojcu używała Roli (na pieczęcie, gdyż ojciec nie zostawił jej ani zagona); nazywała się nawet Rolanka. Pocziwy to był ród.

Dziwnym składem okoliczności, matka Prawdzica starego była z domu Krojów (alias Lemiesz choć to nie wszystko jedno) co wedle niektórych dowodziło nobilitację od pługa, na co nosy krzywiono, woląc gryfy i jastrzębie od pocziwego pługa, dającego chleb i znaczącego pracę!

Mówię wam zaprawdę, że nie darmo nasi herbologowie zwłaszcza Okolski, mówią zawsze o charakterze rodów – o!

niedarmo!

Ludzie co nosili w herbach Rolę, Kroję, z ojca w syna byli gospodarzami. Wyrwał ci się niekiedy i z tego spokojnego gniazda zawadyja, paliwoda, rębacz, wojak, ale to ogólnego nie łamało prawidła: dóm przecie był gospodarski.

Macie tedy już do sytości o przodkach i antenatach, może nawet za wiele, ale nie chciałem pozostać w tyle od innych historyków naszych, którzy do żywota bohatera bez tego wstępu, jak do obiadu bez kielicha wódki przystąpić nie umieją.

Dla czegożby doprawdy życie dziadów nie miało w pewien sposób objaśniać historii wnuków. Wszak dowiadujecie się, kto rodzi konia, gdy go do stada kupić macie, pytacie się także, jaka krew w jego żyłach płynie? I myśmy trochę konie pod pewnemi względami.

Nasi przodkowie dają nam narzędzia, któremi dusza od Boga zesłana ma się światu objawić. Ważne są i one (ja zupełnie pojmuję dla czego starożytni jacyś prawodawcy krzywe i słabe dzieci topić kazali jak kocięta) – Arystokraci nasi mają wielką słuszość, że się z przodków chlubią: mięso, ciało, bydłą swą część są im przecie winni; boć spodziewam się, że nie myślą im dziękować za duszę, którą Pan Bóg jednaką i równą każdemu daje.

Bartłomiej Prawdzic, dożył naszych czasów w świętej prostocie, świętej wierności, niewinności i pokoju, a obrzydzeniu tych szatańskich inwencji, któremi młodsze pokolenie zachwyca się jako postępem.

Miał on na Litwie wioseczkę jak wszystkie nasze: z jednej strony lasy, z drugiej błota i sianożęcie, środkiem poletki i wioska z dwudziestu złożona chatek, czarnych, dymnych, niskich, biednych. W końcu jej stała karczemka i kościółek, dalej nieco dworek w drzewach starych, prawdziwy dworek szlachecka. Około niego lamusik i sérnik wysoki, studnia z żórawiem, loch z białą pierśią i grzbietem garbatym, stodoła z krzyżami i rokiem budowy wyszytym misternie snopkami na dachu. Dołem przy młynku nad grobelką stała gorzelenka; staroświecka, pochylona, okopcona, trochę kulawa, a w niej ile kotłów, kociołków, czapek, trąb, śwędu, błota, dymu, żydów i satysfakcji!

Wspominamy tu o wszystkich budowach gospodarskich, o których słowa by rzec nie czuł się obowiązany innego kraju powieściarz, a to dla tego, że one regulowały i przytykały zewsząd do życia pana Bartłomieja. Coby on robił, gdyby ich tam nie było? gdyby z kąta w kąt nie chodził, nie dreptał, nie gdérał i co się zowie nie gospodarował! Poczciwa pani Hanna miała także swój wydział gospodarski: podwórko ptastwa pełne, motki, płótna, grzyby, jagody, lekarstwa, aptéczkę, przysmaczki, wygodki, kuchnię; do niej wyłącznie należące.

Jak tam czas schodził? wiecie już pewnie. Modlitwy, gawędka cicha i nie namiętna, gospodarska, powolna, z wieśniakiem narada, pomoc w potrzebie dla niego, nabożeństwo – to były jedyne żywioły ich życia. Czasem sąsiad gość, czasem jakieś dziwne i z karbów zwyczajności wychodzące zdarzenie, ożywiały to spokojném korytem płynące **żytko** szlacheckie.

(Darujcie neologizmus, przebaczcie uwadze że **żyto** musi się tak nazywać, z powodu iż utrzymuje **życie**.)

Bartłomiej Prawdzic ożenił się jak Bóg przykazał, poczuwszy wolę Bożą, jak to dawniej mawiano, bo śmierć i żona – przeznaczona! Ożenił się ani zawczasie, ani zapóźno, ani z szalonej miłości, ale wedle rodzicielskiej woli i serdecznej inklinacji, biorąc w stanie swym towarzyszkę i dozgonnego **przyjaciela**.

Nasi ojcowie kobietę wynosząc na małżonkę, nie **przyjaciółką** (uchowaj Boże) ale ją zwali **przyjacielem**. **Przyjaciółkami** zwały się kobiety wcale innej kategorii; **przyjacielem** żona, którą w ten sposób na dostojenstwo **męża** a raczej **mężyny** biblijnej wynoszono. Nikła płć w tém nazwaniu pełném głębokiego a niepostrzeżonego dotąd może znaczenia, szacunek okrywający kobietę, żonę, niedozwalał nawet przed ludźmi o uczuciu z którym my się dziś tak głośno popisujemy, wspominać.

Nazwanie to oznaczało, że brali żony dla przyjaźni nie dla miłości, nie dla płci ich. W tem słówku jest może więcej niż w mnogich rozprawach o obyczajach.

Język! wielka skarbnica narodów! gdyby historia zapomniana została, jeszcze by główne jej wypadki, jej ducha, z językowych świadectw odbudować można.

Anna, którą mąż także panną *more antiquo* nazywał (a i to ma głębokie znaczenie) godną była poszanowania i miłości małżonka.

Nigdy niewiasty świętszej, cichszej, łagodniejszej, skromniejszej, pracowitszej, w złym razie wytrwalszej niewidziano. Żyła cała w mężu i mężem, skinienia jego patrząc by je uprzednić. Pan Bartłomiej pomimo przywiązania i poczciwości swej miewał czasem chwile cierpkie, gryzły go kłopoty, czyniące niecierpliwym, opryskliwym i przykrym. Ona to wszystko uśmiechem lub słówkiem, które jej serce podyktowało lepiej od najwykwintniejszego rozumowania, umiała uśmierzyć, ukołysać i zbolące serce ugoić.

Przeżywszy z sobą w stanie małżeńskim lat piętnaście państwo Prawdzicowie, jednego tylko żalowali. Bóg nie dał im potomstwa. Oboje w początku okrutnie na to cierpiąc, gdy się postrzegli, że częste wspomnienie zwiększało ich boleść, przestali o tém mówić, by sobie ulżyć wzajemnie.

Jejmość z uśmiechem, choć łyzy miała w sercu, cieszyła się głośno, że dziecka nie miała; jegomość zapalczywie jej ze swej strony wtórował, przywodząc dykteryjki o niewdzięczności dzieci względem rodziców.

Ale co się tam w ich duszy działo!

Modlili się potajemnie, robili wota skryte, suszyli i pielgrzymowali, ale długo nadaremnie. Aż nareszcie po latach piętnastu, jednego poranka gdy razem pili piwo grzane u dębowego stolika z warcabnicą, pani Anna podniosła się, pocałowała w czoło łysawe p. Bartłomieja, i uśmiechając się rzekła.

– Słuchajcie no panie Bartłomieju, mam Jegomości coś

dobrego powiedzieć.

– No! no! a cóż to takiego, odezwał się mąż węża ocierając, cóż to za rarytas, że się tak moja panno wybierasz był czajka za morze. Musi to być nie lada specjalna nowina.

– Nie mylisz się Jegomość, Bóg dobry obiecuje pocieszyć nas potomstwem.

Ktoż odmaluje co się stało z panem Bartłomiejem! Porwał się od stołu, i zaczerwieniony chwytając żonę w pól, zawołał głosem drżącym.

– Handziu! serce moje, nie żartujesz! na Boga miłego moja panno, wszak nie żartujesz?

– Jakżebym śmiała! a jeszcze w takiej rzeczy! godziłożby się? Oboje stali chwilę milczący, jej łzy się potoczyły po twarzy, jemu usta i ręce drżały z radości.

– Przecież Bóg mnie wysłuchał, niech mu będą dzięki! rzekł siadając.

– Ciebie kotku? uśmiechając się odparła Jejmość, chyba mnie? powiedz lepiej, ty ciągle powtarzałeś, że dzieci nie lubisz, że ich wcale nie żadasz. Ja Bóg widzi od lat trzynastu tylko o to się modłę.

– Jejmość! a dla czegoż ciągle powtarzałaś, że to wielki ciężar i wielka odpowiedzialność przed Bogiem kto ma dzieci; że lepiej jest niemiec, niż tracić lub widzieć jak marnie pójdą?

– Mówiłam ci to nieraz, niezapieram, ale...

– Ba! rozumiemy się, obojeśmy pobożnie kłamali! Nagadaliśmy sobie siła że nie chcemy dzieci, bośmy się ich

niespodziewali, a serca sobie rozraniać nie chcieli; ale uboje zarówno ich żądaliśmy. O! złota moja Handziu jakim ja szczęśliwy, jak panu Bogu memu dzięki składał.

– Usiądź że, uspokój się kochanie...

– Samabyś siadła moja panno i uspokoiła się, tobie teraz, nawet pewnie stać niezdrowo. Patrzajcie dodał po chwili, będziemy mieli dziecię.

– A! a! a niemylisz się no tylko moja panno!

– Zwiodłam że kiedy Jegomości, spytała żona ze słodką wymówką. Nic przecie dotąd nie wiedziałeś, a to już od czterech miesięcy. Pytałam się znachorek, starej kowalowej i Elżbiety, niema wątpliwości.

– Jeszcze pięć miesięcy czekać! niespełna pół roku długo to długo, ależ wyściskam chłopca jak się urodzi!

– A któż ci powiedział że będzie chłopiec!

– Ba! a prawda, szłusznie kochanko mówisz! To jeszcze na dwoje widłami pisano, albo albo, proszę, a mnie się zdawało. —

– Bóg jeden wie co nam dać raczy.

– A jabym przysiągł, że syna mieć muszę.

– Nie łapmy ryb przed niewodem.

Pan Bartłomiej zamyślił się, westchnął i dodał:

– Zapewne.

Jakie tam były potem troskliwości, obawy aż do urodzenia potomka, opisać by trudno; Jejmość donosiła dziecię szczęśliwie.

Ale tygodniem przed urodzinami pan Bartłomiej miał dziwny sen. We śnie tym co widział, nazajutrz temi słowy przed

miejscowym proboszczem, księdzem Sycyną, opowiadał:

Nadedniem, mości księże kanoniku, zdało mi się jakoby był na szerokiem, bardzo rozległym, ba nawet bez granic i widomego końca, polu. Widziałem wyraźnie wszystkie przedmioty na niem znajdujące się, a była ich moc nieprzeliczona. Wszystko, co na świecie widzimy, o czem słyszymy, tu się razem znajdowało. Zdaleka błyszczał Oceanus, bliżej płynęły rzeki, jeziora były o piaszczyste brzegi, ryczały zwierzęta dzikie po głębokich ciemnych lasach, bili się ludzie, inni zasiewali pola, inni żęli, pielgrzymowali wielkimi kupy, płynęli okrętami, budowali miasta, burzyli grody, lub siedzieli nieruchomi nad księgami.

W jednym końcu tej czarodziejskiej doliny świeciło słońce wytrzeszczoném okiem, na drugim wrzała burza sroga. Były tam, jakem wam mówił wprzód morza, góry niebotyczne, doliny głębokie i ciche a chłodne, puszcze ciemne i piaski arabskie, wszystko to jedno obok drugiego razem zlane w doskonałe *totum*; rzekłbyś księże kanoniku jabłko z jednej strony rumiane, z drugiej żółto blade.

Gdy stoję, a spozieram ciekawie (boć było na co patrzeć) uważajcie tylko – z piersi mojej, z piersi! mości kanoniku, wychodzi, *znak zapytania, signum interrogationis*,

?

i ani obejrzawszy się nawet w świat rusza.

Znak ten zapytania, miał główkę w jasne włosy ubraną, kij wręku, sakwy próżne na plecach, i smutne jakieś niebieskich ocz wejrzenie. Mimowolnie zająłem się nim, i już tylko nań

spoglądałem.

Szedł poważnie, niekiedy zastanawiając się po drodze, od kamienia do kwiatu, od kwiatu do ptaka, do zwierząt, do ludzi, do miast, do siół, do gór i dolin, do rzek i mórz, a do wszelkiego tworu bożego.

Zdawało się jakby je o coś rozpytywał, bo cóżby innego mógł robić znak zapytania? ale ja ani jego głosu, ani dawanych mu odpowiedzi nie mogłem dosłyszeć.

Po każdej niedorzecznej czy odebranej a niedostatecznej odpowiedzi, znak zapytania pokiwał główką, zwrócił oczy w niebo i ruszał dalej. Długo tak poglądałem na to zjawisko osobliwsze, aż nareszcie, gdy znak mój zniknął w oddaleniu, przebudziłem się. Cóż to znaczy mój ojciec? Sen nadto dziwny, żeby miał być nic nie znaczący.

– Sen w istocie dziwny, odpowiedział ksiądz Sycyna zamyślając się i zażywając powoli tabaki, sen bardzo dziwny. Ale sen mara, pan Bóg wiara, mój kochany panie Bartłomieju!

– Przecież mój ojciec, bywały sny wieszczce!

– Tak, starożytni bardzo w nie wierzyli, mieli oni nawet jak to panu wiadomo, swoich *Dii somniales*, Bogów snu, objawiających swe wyrocznie marzeniem; nie bez tego żebyś też pan niesłyszał, że i oni rozróżniali sny przychodzące przez wrota **rogowe** i wrota **z słoniowej kości** to jest wieszczce i fałszywe.

Więcej też jest snów zwodniczych, pochodzących od ciała, od szatana. Wiemy o tym z pisma świętego, że nieraz Bóg zsyłał widzenia we snach prorocze, ostrzegające, okazujące przyszłość,

ale tylko tym, którzy na szczególniejszą jego łaskę zasługiwali.

– Nie pochlebiam sobie.

– Więc lepiej daćby pokój interpretacjom wszelkim, bo w dodatku, kochany panie sąsiedzie, jam nie Josephus on, i nie czuję w sobie powołania do snów wykładu. Bóg wie co to znaczy, a najprędzej czysta fantazja i igraszka. Czy nie wpatrywałeś się Asindziej bardzo w znak zapytania na książce jakiej, czy nie odczytałeś się zbytecznie *Nowych Athen*?

– Od niedzieli księże kanoniku w rękę książki nie trzymałem krom kalendarza, kalendarz zaś nie obfituje w znaki zapytania, a *officium* którym się modłę, także.

– Prawda! a zatem to igraszka imaginacji.

– Jednakże mości księże kanoniku, gdybyśmy spróbowali sobie wykladać?

Książd Sycyna ruszył ramionami.

– Znak zapytania, rzekł, jest sam z siebie rzeczą złą i potępioną. Grzech pierworodny był zuchwałym znakiem zapytania; na nim stoi cała filozofja świecka, bunt aniołów przeciwko panu Bogu niczem innem nie był także krom zbrojnym znakiem zapytania. Ciekawość pierwszy stopień do piekła, a znak ciekawości jest znakiem piekielnego niepokoju duszy.

– Co mówisz ojczu?

– Tak mi się zdaje. To jego szwendranie się po całym świecie waściny, jak opowiadasz, także nic dobrego nie znaczy. **Dobre** siedzi cicho w kącie, **złe** tylko szuka napróżno spoczynku którego

nigdzie znaleźć nie może. Tandem plunąć a porzucić.

– Masz Jegomość racją.

I na tém skończyła się rozmowa.

Sen jednak był proroczy.

II

W krótkce po tym śnie tak dziwnym urodziło się panu Bartłomiejowi dziecię; był to syn; a dano mu imie dziadowskie Tomasz.

Opisać radość matki i uniesienie ojca, ich uściski, łzy i pijatykę na chrzcinach, trudno; a gdybyśmy *per extensum* ten opis tu umieścili, nie wieleby się w nim nowego znalazło. Od niejakiego bowiem czasu tak bogaci jesteśmy w tego rodzaju obrazki narodowe, że moglibyśmy ich nieco nawet za pomierną cenę innej jakiej literaturze ustąpić.

Lecz idziemy dalej.

Rodzice tak byli uszczęśliwieni, że im nawet na myśl nie przychodziło posprzeczać się o wychowanie dziecięcia. Nie widzieli też wcale dwojakiej ku temu drogi: jedną tylko.

Tomko był ślicznem dziecięciem jasnowłosem, niebieskookiem, rumianem, nie zbyt żywym, ale jak to mówiono, **ciekawem**, rozmyślajacem chętnie od lat młodych i tęsknem.

Wszystko go zastanawiało, o każdą rzecz długo bez końca, z zapytania w zapytanie wpadając, do ostatka badał. Zbywano go wręście ni tem ni owem; a dziecko zbyte nie uspokojone pokręcało główką milcząc posłusznie gdy mu zamilknąć kazali, ale nieprzestawało myśleć i badać.

Ojciec i matka spoglądali po sobie, dziwili się ze strachem dowcipowi wielkiemu, wróżyli przyszłość swietną, i panu

Bartłomiejowi nieraz sen ów na myśl przychodził, a gdy go przypomniał, kiwał głową bardzo długo.

Gdy Tomko podrósł nieco, poczęto mówić o Dyrektorze ale na nieszczęście starzy owi dobrych czasów Dyrektorowie co służywali za pięćdziesiąt złotych i dwie pary butów, a jako *præmium diligentiae* otrzymywali w dzień imienin pańskich lub na rok nowy starą kapotę łataną na łokciach; co to utrzymywali rejestra ekonomiczne, pilnowali w gorący czas pańszczyzny i batożyli chłopów niemiłosiernie: – znikli już byli z horyzontu.

Nic podobnego nie trafiało się.

Pan Bartłomiej sam wychowany przez podobnego Dyrektora i synowi innego nie życzył. Tem czasem ksiądz kanonik Sycyna zajął się początkową nauką chłopców, a nie mając co robić, bo go wikarjusz z niewielkiej parafji wyręczał; uważając Tomka za dobre *subjectum* podjął się chętnie trochę go podkrzesać.

Nie długo to wszakże trwało; bo osobliwym trafem, zesłany został panu Bartłomiejowi taki właśnie na pozór Dyrektor, o jakim marzył, jakiego sobie życzył.

Jednego letniego wieczora, gdy z guminnym w ganku o jutrzejszej robociznie rozprawiał, rostrząsając, czyby lepiejby było nowe kosić sianko, czy już pokoszone gromadzić we wrotach psy zaszczekały.

– Kogoż to tam pan Bóg prowadzi do nas? spytał gospodarz.

Postać wcale niepospolita ukazała się na podwórku, wysokiego wzrostu, ale trochę pochyły już mężczyzna, z obwisłym wąsem, łysą głową, oczyma szaremi, głęboko

w powiekach siedzącymi, usta skrzywionymi, jakby do uśmiechu szyderskiego, w długiej sukni ciemnoceglastego koloru podpasanej rzemiennym pasem z kłamrą mosiężną, z kijem ogromnym w rękę, kroczył powoli ku gankowi.

– *Laudetur Jesus Christus.*

– *In saecula saeculorum Amen.* A co nam dobrego powiecie? spytał pan Bartłomiej.

– Dobrego? he? rzekł nieznajomy. Wszystko **dobre** poszło dawno spać i obudzić się niemoże, **niezgorsze** drzymie, a **złe** chodzi po szerokim świecie. Dobrego dawno w oczy niewidziałem.

– Któż jesteście i co was do nas prowadzi?

– Jestem człowiek jak widzicie, goły ale wesoły, stary ale jary, a prowadzi mnie Pan Bóg i oczy.

– Ale cel waszej podróży?

– Cel! ha! cel! *enigma*. A kto z nas wie dokąd idzie? odparł szydersko nieznajomy.

Pan Bartłomiej nie wiedział już jak zagadnąć, żeby się czegoś przecie więcej dowiedzieć.

– A zatem, rzekł, nie pytając więcej, witam was i proszę do chaty.

– Kolej tedy pytać na mnie, bo bez pytania nie ma rozmowy, a bez rozmowy niema życia. Nie potrzebujecie czasem Bakalarza?

– Jakto? wy bylibyście?

– Do usług waszych, stary Jakób Dołęga, a teraz ani **kup** bo niema za co, ani Dołęga; tylko niedołęga starzec co zęby zjadł

do pieńków na suchym chlebie dyrektorskim. Posłyszawszy że u was chłopiec dorasta, i że mu już pierwsze zęby powypadały a drugie narosły, przystawiłem się ofiarując moje usługi.

Mile zadziwiony pan Bartłomiej; że się bez porady żony nic nie działo, wywołał zaraz panią Hannę dla obejrzenia Dyrektora i zasiągnięcia jej zdania.

Jakób Dołęga znany był w sąsiedztwie zdawna, ale z dziwnych słuchów które o nim chodziły. Nazywano go najpowszechniej dziwakiem jak pospolicie zowią tych których zrozumieć nie mogą. No to nazwisko wielce podobno zasługiwał: szydził łagodnie prawie ze wszystkich, prawie ze wszystkiego, zdawał się w nic nie wierzyć choć czasem gorąco się modlił; miewał chwile wesela głośnego, to znów raptusy złośliwego smutku, w których chłostał nielitościwie co mu na ząb wpadło. Czasem roztrzepany jak dziecko, to znów poważny i surowy, szalony lub chmurny, nie wywnętrzał się nigdy do głębi, ani w utrapieniu ani w szale wesela. Obawiano go się i szanowano razem, był bowiem przy tych wadach uczciwy i cnoty nieposzlakowanej.

W życiu całym nic złego dobrowolnie nie popełnił, ale dziwactw bez miary i końca. Starego slacheckiego rodu, w młodości nawet *possessionatus* i dosyć majątny, stracił, przehułał co miał, nie zatroskawszy się nawet gdy mu już kąta własnego nie stało.

Wziął kij, podpasał się i poszedł wędrować i uczyć dzieci. Gdzie był, jak wiek do starości przepędził, nikt dokładnie nie wiedział.

Co lat kilka, ukazywał się w swej okolicy, posiedział w niej chwilę i znów *per pedes* jak mówił, wędrował dalej. Grosz się go nie trzymał, bo nim rzucał, jakby jeszcze był bogatym i krewni nie chętnie przyznawali się do niego, on z nich sobie żartował. Że zaś jeden z braci był Prezesem Sądów granicznych, drugi Sędzią Powiatowym, myśleli że dostojęństwa, które na ramionach dźwigali, do ubogiego Dołęgi przyznać się im niedozwalały.

Znajomych pełno miał wszędzie; serdecznych przyjaciół mało lub żadnych (któż ma przyjaciół serdecznych o kiju chodzący i torbie?) wspominał czasem jednego, ale i ten dawno już był umarł; był to przyjaciel młodości.

Rodzaj Diogenesa wszelki wytwór i wygodę jako niewolę i pęta uważał, mówiąc: że nie my rzeczy których potrzebujemy lecz rzeczy nas mają. Sypiał na twardym tapczanie, chodził w jednej opónczy na powszednie i święta, jadł za przysmak chleb razowy z solą i wodą.

– Nie siedzę nigdzie długo, mawiał, bo niechęć pokochać nikogo; to tylko kłopot niepotrzebny.

A że pod ogorzałą i zmarszczoną skórą biło mu serce miękkie, rychło zewsząd uciekał, bo prędko umiał pokochać.

Co umiał z resztą? nikt tego dokładnie nie wiedział: to pewna że z księdzem po łacinie o theologji rozprawiał jak theolog; z prawnikiem o procesie jak jurysta; z gospodarzem o roli jak ekonom, coby na tem zęby zjadł i nawet z niemcem Doktorem o medycynie po niemiecku szwargotał; talmud żydowski czytał dla rozrywki wieczorami, jakby był wychrztą.

Lubił bardzo czytać choć ten szal czytania nie zawsze go napadał. Czasem z książkami zamykał się namiętnie w nich zagrzebując, czasem na nie plwał i odrzucał je ze wzgardą. Słowem, był to człowiek niepojęty.

Takiego nauczyciela przyjął pan Bartłomiej do syna; w początku na rok, na dwa tylko początkowe lata zamierzając go zatrzymać; ale i mistrz do chłopca i dziecię do mistrza i rodzice do pocziwego Dołęgi tak się serdecznie przywiązali powoli, że rok za rokiem upływał, a oni rozstać się z nim niechcieli, owszem sami go zatrzymywali gdy brał za kij, i prosili usilnie, żeby pozostał jeszcze.

Stary mruczał, trochę się wyrywał i siedział: dziecku cudownie jak kwiat o słońcu grzejącem otwierała się i rozpromieniała główka.

Tego co to pospolicie zowią **nauką** u nas, nie dał mu mistrz w prawdzie; faktów, dat, figlów uczonych nie napchał mu do głowy; ale głowę do pojęcia wszystkiego co na świecie uderzyć o nią mogło, usposobił i otworzył. Nie począł on jak pospolicie czynią, nieforemnej roboty bez narzędzi; narzędzie wprzód zaostrzał i sposobił.

Tomcio miał co to zowią otwartą głowę; roztropny, pojętny, ciekawy i wiedzy chciwy aż do zbytku, łaknął tém żywiej, im bardziej Dołęga ociagał się z wlewaniem mu nauki. Mistrz nic na pozór nie robił, przygotowywał tylko ucznia jak powiadał; uprawiał rolę, przewracał skiby, dwoił, troił, skrudlił, przepędzał, a na ziarno, powtarzał, bardzo jeszcze czasu dosyć.

Jednego poranka niewiedzieć, jak i dla czego, nieodebrawszy reszty biednej należnej mu płacy, niepożegnawszy się z uczniem i rodzicami jego, znikł stary Bakalarz. Dokąd się udał? dla czego dom opuścił? nikt nie umiał wytłumaczyć.

Ale Tomcio był na drodze, którą dalej już sam mógł się jako tako kierować.

Oddano go tedy do szkół Jezuickich; tam bystrém swém pojęciem, niebardzo wszakże podobał się nowym swoim nauczycielom. Nadto szybko przejmował się przedmiotem nauki, i przechodząc zakreślone jej granice, sięgał po za stojące w koło mury, co ją przegradzały. Nauczyciele na jego pytania zuchwałe dziwnie potrząsali głową.

Po tem zaczęto go wybadywać, czyby nie miał ochoty wstąpić do zakonu?

Tomko odparł naiwnie, że nieczuje w sobie powołania. Starano się je wzbudzić, na próżno. Z filozofij odesłano go ojcu zapewniając że już bardzo dosyć umie na prostego ślachcica i przyszłego hreczkosieja. A Tomko utrzymywał *cum debita reverentia*, ruszając z lekka ramionami, że nic a nic z gruntu niepoznał a ledwie począł z rudymentami cokolwiek się oswajać.

Ojciec na to *dictum* odwrócił się poważnie i spytał go:

– A co waści w głowie? czy to chcesz wyjść na uczonego żeby łokciami świecić? czy na księdza?

– Nie ojcze Dobrodzieju, ale chciałbym coś umieć.

– Toć ojcowie Jezuici najlepiej wiedzą ile tobie umieć potrzeba, dość ci na ślachcica, tego co masz; bodaj czy nie więcej

tam liźnąłeś odemnie, com tylko z łaciną się trochę poborukał i rachunku skosztował, a *Gradus ad Parnassum* znam tylko z widzenia. – Pocóż waści więcej, księdzem taki nie będziesz, bo mówią powołania nie czujesz.

– Nie czuję ojczy dobrodzieju!

– Więc po cóż ta nauka? Żebyś potem pocziwą gospodarką i ślacheckiem życiem gardził, mędrkował i świdrował myślą — Tomko zamilkł i spuścił głowę.

– Z wielkiej nauki mówił dalej ojciec, muchy się w nosie lęgną, to raz; – powtóre, głowa się do góry zadziera, co także licha warte; tysiące złych myśli do głowy nalatuje i ze szczęścia, z życia bożego kwita. Nauka spokoju nie da, szczęścia nie da; a dziurawe łokcie i obałamucną głowę nieochybnie.

– Mój ojczy, wybąknął ośmielając się Tomko, wychowany w staroświeckiem uszanowaniu dla rodziców natchnionem też prawdziwem do nich przywiązaniem; ojczy mój drogi, nie gniewaj się na mnie.

– A za cóż bym się miał gniewać?

– Za to co powiem może zbyt śmiało.

– To waść lepiej niemów —

Syn zamilkł posłusznie, uklonił się i chciał odejść; pan Bartłomiej pogładził węża, ruszył ramionami, obejrzał się na żonę, która napróżno dawała mu znaki, aby Tomkowi owszem odwagi do szczerości poddał. —

– No i cóż tam? spytał ojciec —

– Wola ojca Dobrodzieja święta, nic nie powiem —

– Grzeszny jestem; ciekawość mnie bierze, co to tam tak głupiego miałeś powiedzieć – No mów śmiało, nie będę się gniewał. Już to widzę ta pora przychodzi że jajca kury uczyć i przewodniczyć im poczną – Słucham waści.

Trzeba wiedzieć że pocziwy pan Bartłomiej jako żyw nigdy się w sercu na dziecię nie gniewał i wedle tradycji, gdy sądził że należało okazać oburzenie, nauczyć *mores*, wystąpił z powagą swoją i objawiał gniew niezgorzej udany jak na domorośłego aktora, aby dziecię z karbów nie wychodziło.

Tomko przy swoim rozumku, naiwny był i prostoduszny na podziw, czasem się to jedno z drugim godzi i jedno z drugim chodzi całe życie.

– Ojcie dobrodzieju, rzekł, to co mam mówić, przeciągnie się, chcę wypowiadać się szczerze i do głębi serca.

– No to mów że waść, mów!

– Proszę więc o cierpliwość.

– Kto ma dzieci, musiał się jej nauczyć, odrzekł pretensjonalnie pan Bartłomiej zawijając poły od kapoty i siadając na sepeciku obok żony. Potem założył nogę na nogę, łokieć oparł o stolik, łysą głowę wziął w dłoń namulaną i siwe oczy wlepił w syna, któren mnąc w ręku surducinę stał przy progu pokornie, ze spuszczonej oczyma.

Pani matka nieodwróciła oczów od jedynaka, pasąc je swym ulubieńcem; a w wejrzeniu pocziwej niewiasty tyle było głębokiego rozumu! Rozum bowiem i miłość patrzą jednakowo i choć częstokroć działają całkiem przeciwnie i jedno na przekor

drugiemu, któż nieprzyzna, że wejrzenie wszelkiej miłości pełne jest najwyższego rozumu?...

III

– Kochany ojczy, kochana matko, rzekł po chwili Tomko dawno mi to na sercu cięży, żem sobie uczynił postanowienie bez zezwolenia, bez wiadomości nawet waszej; a jednak postanowienie niezłomne.

– Wszystko na świecie jest złomne, odparł surowo pan Bartłomiej – ale o jakimże to postanowieniu jest mowa? Gołowąs miałby sam sobą kierować?

Tomko westchnął.

– Opowiem jak do tego przyszło, rzekł. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedym na naszym herbowym klejnocie zobaczył lwa nad mur wspiętego i coś trzymającego w łapach.

Spytałem starego Szymona coby to było? odpowiedział mi – słyshałem że to – **prawda**. Cóż to **prawda** Szymonie? dobadywałem się z kolei. – A ot, rzekł wskazując mi na stole słomianą podstawkę pod butelki, ot **prawda**. – Ale, dodał, słyshałem, że prawda którą ten lew trzyma w łapach, ma być żelazna. – Do czegoż, się zda prawda żelazna? pytałem go znowu. – Pan Bóg to jeden raczy wiedzieć – rzekł Szymon rozstawiając misy na stole. – A dla czegoż ta prawda okrągła? mówiłem znowu. – Dla tego paniczu, że nie kwadratowa! odparł, a ta żelazna prawda herbowa, ćwiekiem mi w głowie utkwiła odtąd.

– Ale cóż może mieć za związek waścina dykteryjka, spytał ojciec, z waścinem postanowieniem?

– Natychmiast się to wyjaśni; smutnie pośpieszył syn z odpowiedzią.

– Dotąd nic nie rozumiem, waść musiałeś podwarjować!
Tomko niżej spuścił głowę i mruczał dalej.

– Otdąd myślałem tylko sam nie wiem dla czego, o prawdzie, wszystkich się pytałem, co to prawda? a od nikogo o tem dostatecznie dowiedzieć się nie mogłem. Różnie różni tłumaczyli, odpowiadali, a ze wszystkiego widać, że to jest jeszcze głęboką tajemnicą. Nikt dotąd niewie dobrze co to jest prawda?

– Jakto niewie? oburzył się ojciec. Szymon to waść bardzo dobrze wytłumaczył, czegoż u diaska chcesz jeszcze?

– Ale to ojciec dobrodzieju, ja już podrósłszy od żelaznej i słomianej do duchownej prawdy przyszedłem i o nią się chciałbym dopytać. Ale i ta dla mnie żelazna.

– I prawisz o nich jak o żelaznym wilku, gderał ojciec miotając się, czyś się waść blekotu objadł? czy sfiksował?

– Postanowiłem życie moje poświęcić poszukiwaniu prawdy.

– Dalipan oszalał, oszalał! Nauka przewróciła mu głowę! Co mi prawi o prawdzie! Alboż to niewiesz trutniu jakiś, że prawdą jest – wszystko co prawda...

Tu stary zaciął się i splunął.

– Że prawdą jest wszystko co prawdziwe, co nie fałsz, co...

– Co nas uczy wiara, co nam mówi serce! dodała matka ratując Jegomości który się jak wróbel w siatce targał.

– O tóż to! tak miałem mówić, podchwycił Bartłomiej –

święta i śliczna odpowiedź! Otóż masz z ust matki rezolucją finalną.

Tomko z uszanowaniem pocałował matkę w kolano ale milczał.

– Jeszcze ci nie dosyć?

Milczał uparcie.

– Postanowiłem, odezwał się po chwili, życie poświęcić poszukiwaniu prawdy.

– Ale pocóż szukać znalezionej?

– Nie wszyscy, kochany ojczy, mają szczęście w świętą taką prawdę wierzyć, rzekł Tomko. Każdy ma swoją wiarę, swoją prawdę, a cudzą fałszem zowie. Po szerokim świecie tysiące mniemanych prawd chodzi; mnie się zaś widzi, że powinna być jedna tylko wielka prawda, jak jedno jest słońce co nam przyświeca i Bóg co nas stworzył.

Rodzice spojrzeli po sobie, a ojcu nagle przyszedł na pamięć ów sen dziwaczny, który urodzenie Tomka poprzedził. Poblądł stary, ruszył ramiona i nic nie rzekł.

– Pytałeś się kogo o te twoje mary? wybąknął po chwili.

– Wszystkich.

– Cóż ci odpowiadano?

– Każdy co innego.

– Musi to być coś na kształt tego, że prawda z każdej strony inaczej się wydaje. Ale po co waści ten klin sobie bić w głowę – kie lichu ci go naniosło? Co tobie do tej prawdy? Prawda prawdą a ty Prawdnicem, ślachcicem, hreczkosiejem, katolikiem i kwita.

– Spać nie mogę, jeść nie mogę.

– Toby ci głowę ogolić kochanku! No – ale cóż ci przecie świta, co myślisz sobie z tą swoją djabłą prawdą?

– Pójdę w świat po nią.

Rodzice się porwali; ojcu znak zapytania we śnie widziany stał przed oczyma. Marzenie więc było wieszczce, chłopiec w kolebce przeznaczony na dziwne losy! Dwie łyzy srebrzyste puściły się ukradkiem z oczów panu Bartłomiejowi, a matka? – Matka darmo płakała i łkanie tłumiała.

Stary ojciec nie pojmował syna, ale w sercu tłumaczył sobie to niesłychane przedsięwzięcie, jakaś wołą wyższą, której dla niego sen był znakiem. Matka, co już była o śnie tym zapomniała, rozplynęła się we łyzy jak po straconem dziecięciu.

– Tomaszu spojrzysz na łyzy matki, te cię wstrzymać powinny, sucho zawarł pan Bartłomiej.

Tomko ukląkł przed nią i całując ją w ręce szepnął:

– Ja powrócę, matuniu! nie sprzeciwiaj się, nie wstrzymuj mnie, iść muszę.

– Ale po cóż? dla czego?

– Za prawdą!

– Nie mówiłam że ci, że najbezpieczniej jest szukać jej w wierze i w sercu?

– A! matko kochana! matko droga! odparł syn cicho – wiarę zachwiano we mnie, serce mówi do mnie niewyraźnie, mówi znakami których sobie wytłumaczyć nie umiem. – Puść mnie, puść – ja wrócę do was, powrócę!

– Starzyśmy oboje, przerwał pan Bartłomiej – czas by było synowi nas wyręczyć, spodziewaliśmy się tego. Praca mi już cięży gospodarstwo nie idzie w ład.

Tomko stał nieugięty, milczący.

Próbowano jeszcze utrzymać go wszelkimi sposoby, prosząc i płacząc, perswadując lecz wszystko napróżno. Nareście rodzice powiedzieli sobie. – Nie zabawi on tam długo powróci do zacisza, niech gdzie chce idzie z Bogiem.

A zatem zajęli się smutną wyprawą.

Gdy po staremu ślachcic z domu rodzicielskiego wyjeżdżał w świat szukać szczęścia, by znaleźć najczęściej guza lub plamę – czasem oboje, niestety! – wyprawiano go wierzchem z kilka talarami bitemi i skórą bitą także na pamiątkę. Szczupły zapas pieniężny groźbą niedostatku podsyczał umysł i zmuszał do dobywania losu szturmem; bita skóra była jakby przypomnieniem, że na drodze do wzniesienia się lękać się nie trzeba cierpienia. – Potém błogosławiono, płakano i młodzieniec pełen nadziei w świat ruszał – z Bogiem!

Nie tak już wyszedł nasz Tomko, bo i czas był minął gdy szlachta w ten sposób symbolicznie żegnana z domów ruszała szukać losu.

Dokoła zmieniało się wszystko ludzkie, twory tylko boże zostały jak były od wieków. – Obyczaje, myśli, dążenia, środki, wszystko przedzierzgnęło się nagle, inną przybrało twarz, inne suknie; wiek jeden konał, drugi się rodził wesół, śmiały i pewien siebie.

A my nagle ze średniowiecznych obyczajów i bytu, skoczyliśmy bez przejścia prawie, bez widocznej przyczyny w nowe życie, prostem tylko naśladowaniem namiętnem.

Zegar wieków uderzał pierwsze godziny XIX. stulecia.

Tomko o kiju, ze łzami w oczach wychodził z domu; ojciec i matka stali w progu i płakali patrząc. Szedł jak żebrak, jak ubogi szukać – czego? – czego oni nierozumieli, czego podobno nikt jeszcze nie znalazł.

Idźmy i my za nim. —

IV

A gdy wyszedł Tomko na szeroki świat, pojaśniało mu rychło w oczach, poweselało na sercu; uczuł się sam i swobodny. Przed nim otworem stał cały boży świat, niezmierzony, rozmaity, różnobarwny. Pamięć rodziców i rodzicielskiego domu znikła prędko przed namiętnem pragnieniem wiedzy, przed ciekawością młodzieńczą, która w nim gorączką wrzała.

Stanął by się obejrzeć.

A w głowie myśl mu błysnęła:

– Dla czegożbym nie szukał naprzód prawdy w tworach bożych? czyliż usta ludzkie powiedzą kiedy więcej nad nie, lepiej nad nie o tajemnicach stworzenia i myśli przedwiecznej? Czyliż żywy twór nie więcej świadczy od czczego słowa?

Rzucił kij i usiadł na kamieniu; a była to chwila blisko południa i lato właśnie skwarne.

I Słońce sypało złotymi promieniami do koła, rozlewając ciepło żywotne; świat cały w barwach jasnych i wesołych, lśnił oczy młodzieńca.

– Prawdą jest światło! prawdą jest życie, prawdą ciepło, prawdą wszystko co widzę! wykrzyknął Tomko w zapale uniesienia.

– A czemuż będzie ciemność, śmierć, chłód i to czego w tej chwili nie widzisz? spytał nagle maleńki człowieczek, który z pod stóp Tomka jakby z ziemi wyrósł.

Nie zląkł się nasz bohater niespodziewanego zjawiska, spojrzał na nie ciekawie, zamyślił się i zamilkł.

Człowieczek ów, który zdał się z ziemi wychodzić ubrany był nową fozą a bardzo wykwintnie. Ogromna fryzura spadała mu upudrowana na barki, stosowany kapelusz miał pod pachą, szpadkę u boku z porcellanową rękojeścią (wyglądającą w istocie jak widelec) axamitną suknię mordore szytą blaszkami i jedwabiem, kamizelę atłasową w złote kwiatki, jedwabne na nogach pańczochy i książkę wyglądającą z kieszeni.

Powitali się podróżni i potrzeba było wzajemnie zarekomendować :

– Jestem German Baron von Teufel, odezwał się przybyły; od dawna także szukam prawdy i znaleźć jej niemożę. Pójdziemy razem młodzieńcze pełen nadziei i będziemy uczyć się wzajemnie, mnie może brak już siły, tobie doświadczenia, podeprzemy jeden drugiego. Nie tracąc czasu: powiadasz że ciepło, ruch i życie jest prawdą? Mijam to że ciepło, ruch i pewne życie znajdziesz w gnijącym trupie; ale czemuż będzie wszystko przeciwne?

– Fałszem odparł Tomko naiwnie —

– Dla czegożby fałsz miał exystować obok prawdy i na równych z nią bytu prawach? Hm? powiedz mi, po co **jest** fałsz?

– Fałsz jest brakiem prawdy, znów splątany rzekł Tomko.

– Dla czegożby prawda miała być tak dziwnie mierzona i dzielona po odrobinie; dla czegożby jej niedostatek miał walczyć z nią samą jak to widzimy codzień?

Idźmy i patrzmy a nie wyrokujmy —

Młody chłopiec spuścił głowę, zamilkł. Baron German uśmiechnął się nieznacznie – w cichości spoglądali, a Tomko często się zastanawiał i głęboko zamyślał.

Przeszedłszy kawał drogi, siedli odpocząć nad brzegiem rzeki, i mimowolnie zwróciły się ich oczy na otaczające skały massy. Podnosiły się one połamane, siwe, omszone, w dziwnych kształtach, dając znać o sobie że ich wieki pożyć, i skruszyć nie mogły.

Baron German widząc jak Tomko ciekawie wpatruje się w skały, zagadnął go:

– Co ci one mówią?

– Mówią mi bardzo wiele rzeczy, których ja jeszcze jasno nie rozumiem.

– Pozwól więc mi być tłumaczem. One ci mówią że **byt** nie jest udziałem tego co my zowiemy właściwiej życiem, żywotem jednostki; że dłużej trwa kamienna masa, niżeli ruchawe żyjątko. Gdzież ta twoja prawda, która mówiła że ruch tylko jest życiem prawdziwym, prawdą sama?

– One ci mówią, że materja i materji prawa są prawdą jedyną; reszta wyrostkiem, brodawką, która okazuje się i znika. *Forma mutatur, materia permanet*. Nie tak li?

– Tak jest, odparł Tomko, ale obok tego i *Materia mutatur, forma permanet*, będzie także drugą prawdą, nie mniej od pierwszej prawdziwą.

Oba zamilkli, German zażył tylko tabaki, Tomko pochylił się

smutny, a pod nogami swemi ujrzał kwiat pełen woni i cudnymi barwami odziany.

Kwiat ku niemu podniósł wonną swoją główkę i uśmiechnął się. —

– Co to prawda? spytał go Tomko.

– Prawda to moja szata niebieska, to moja woń, to **ja**. Wszystko reszta jest fałszem i ułudą. Zacznij od kwiatu a wytłumaczysz świat cały; wyrwij go z ziemi, a życie ustanie wszędzie. Skały rozsypują się pod nogi nasze, na pokarm gnije dla nas zwierze. Bez nas niema zwierzęcia, niema człowieka. Człowiek jest tylko pierwszym naszym sługą; my środkiem stworzenia. Wiem że powiadacie sobie, iż dla was służy wszystko, że wy jesteście wszystkim; my toż samo myślemy o sobie. – Powtarzam ci – prawda – życie – ta ja: to kwiat!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.